



Oprócz wzrostu organicznego mamy też opcję kolejnych przejęć

Krzysztof Zdziarski, prezes Pesy

A6



IST też muszą odbierać faktury w KSeF już od lutego. Co powinni wiedzieć o systemie ich księgowi?

D1-3

DGP | Dziennik Gazeta Prawna

ŚRODA
21 STYCZNIA 2026
DGP.pl

NR 13 (6682) ROK 32 ISSN 2080-6744, NR INDEKSU 348 066

PATRZYMY OBIEKTYWNIE ■ PISZEMY ODPOWIEDZIALNIE

9,90 zł
CENA GAZETY (W TYM 8% VAT)

Prezydent skierował do TK nadmierne zadłużenie państwa

FINANSE PUBLICZNE

Wniosek prezydenta Karola Nawrockiego do Trybunału Konstytucyjnego o zbadanie zgodności z ustawą zasadniczą ustawy budżetowej na 2026 rok obejmuje takie sprawy, jak ograniczenie limitu wydatków TK czy Krajowej Rady Sądowictwa. Ale też kwestie, które mogą mieć duży wpływ na kształtowanie finansów państwa w najbliższych latach.

Prezydent zarzuca, że ustawa przewiduje przekroczenie kon-

stytucyjnego limitu zadłużenia w wysokości 60 proc. PKB. Taki próg faktycznie będzie przekroczony, ale zgodnie z metodyką unijną, a nie krajową – ujętą w ustawie o finansach publicznych. Karol Nawrocki zgłasza więc i drugie poważne zastrzeżenie: że niezgodnie z konstytucją jest wyłączenie z limitu zadłużenia funduszy zarządzanych przez Bank Gospodarstwa Krajowego. Zadłużenie tych podmiotów wzrosło gwałtownie w trakcie pan-

demii za rządów Prawa i Sprawiedliwości.

„Polska funkcjonuje w systemie podwójnych standardów fiskalnych” – pisze w uzasadnieniu swojego wniosku prezydent. „Określenie państwowego długu publicznego zawarte w ustawie o finansach publicznych stało się wskaźnikiem oderwanym od rzeczywistej kondycji finansowej państwa, służącym jedynie do formalnego zadośćuczynienia wymogom konstytucyjnym” – zaznacza Nawrocki. ©©

A3

Groźna gra w straż obywatelską

BEZPIECZEŃSTWO

Nowa kampania dezinformacyjna ma stworzyć wrażenie, że państwo nie działa, a służby sobie nie radzą. Sprawie przygląda się NASK, a eksperci ostrzegają przed obcymi służbami

Wojciech Kubik
wojciech.kubik@infor.pl

Kilka dni temu portale miejskie w mediach społecznościowych w całym kraju zalały informacje o nowej, oddolnej inicjatywie społecznej. Jej twórcy reklamują się jako „straż sąsiedzka” bądź „straż obywatelska”. Samodzielnie chcą dokumentować przypadki łamania prawa i zapraszać ludzi do współpracy. Sami jednak zachowują anonimowość, a chętnych do pomocy werbują za pośrednictwem wiadomości prywatnych. Podejrzana aktywność dostrzeżona została przez NASK (Naukowa i Akademicka Sieć Komputerowa). Instytut zajmuje się między innymi ochroną przed zagrożeniami cybernetycznymi.

Kreowanie narracji

„Autorzy wykorzystują grafiki tworzone przez sztuczną inteligencję, by kreować narrację o powstawaniu tzw. służb lub straży sąsiedz-

kich walczących np. ze złym parkowaniem czy śmieceniem. Celem jest wygenerowanie szerokiego zasięgu poprzez kontrowersje, które prowadzą do sporów, w tym o charakterze politycznym” – poinformował DGP NASK.

Na rzekomą inicjatywę podejrzliwie patrzą też policjanci. W ocenie gen. Adama Rapackiego, byłego zastępcy komendanta głównego policji, współpraca obywateli z policją powinna się odbywać przy użyciu już działających kanałów, z których jednym jest Krajowa Mapa Zagrożeń Bezpieczeństwa. Obecny stan bezpieczeństwa w Polsce nie uzasadnia zdaniem generała konieczności tworzenia takich oddolnych organizacji. Te mogą mieć zupełnie inny cel.

– Myślę, że ktoś ze służb państwowych powinien przeświecić to zjawisko i zobaczyć, jakie są intencje podejmowania takich inicjatyw. Może być to też przyczółek do szukania partnerów do werbowania, siania destrukcji, a nie do troski o bezpieczeństwo obywateli – mówi gen. Rapacki.

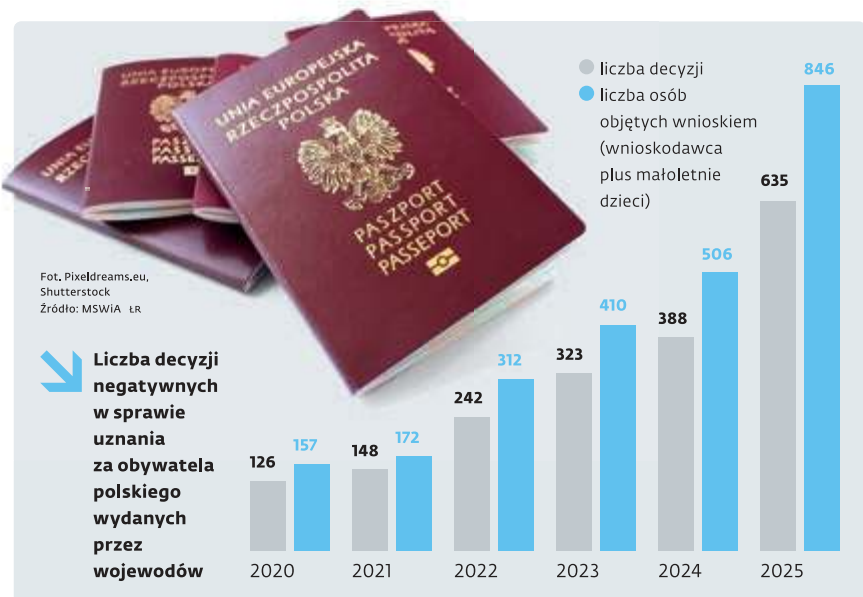
Narzędzie do siania fermentu

Z informacji NASK wynika, iż nowy trend rozpoczął się 10 stycznia. Na razie nie zanotowano prób wyłudzenia danych, ale organizatorzy akcji zapowiadają na koniec stycznia spotkania organizacyjne w po-

szczególnych miastach. Zdaniem majora Roberta Chedy, byłego analityka Agencji Wywiadu, to już niebezpieczny sygnał. – To doskonałe narzędzie do siania fermentu. Pokazuje się, że niby służby sobie nie radzą, że trzeba brać sprawiedliwość we własne ręce. A jak się zorganizują, to takimi ludźmi będzie bardzo łatwo manipulować i napuszczać na innych – mówi Robert Cheda.

Podobnym akcją stara się zapobiec Ministerstwo Cyfryzacji. 9 stycznia zakończyło nabór wniosków do programu „Budowanie wiedzy w zakresie przeciwdziałania dezinformacji”, na który chce wydać 3 mln zł. Wicepremier Krzysztof Gawłowski w wywiadzie dla PAP zapowiedział, że ten rok „będzie rekordowy pod względem wydatkowania pieniędzy na przeciwdziałanie dezinformacji w Polsce”. W ubiegłym roku na ten cel resort przeznaczył 25 mln zł.

Obawę przed powszechną dezinformacją czują też Polacy, co wynika z raportu sporządzonego przez Pew Research Center. Fałszywe informacje zostały uznane za niebezpieczne przez 85 proc. ankietowanych. Na drugiej pozycji znalazła się obawa przed rozprzestrzenianiem chorób zakaźnych (60 proc.) i terroryzmem (59 proc.). Od 2022 r. odsetek osób obawiających się dezinformacji wzrósł o 20 proc. ©©



Rekord chętnych na polski paszport

CUDZOZIEMCY

Ubiegły rok przyniósł wzrost liczby wniosków od cudzoziemców o uznanie za obywatela polskiego, co potwierdza niesłabnące zainteresowanie osiedlaniem się nad Wisłą. Jak wynika z danych MSWiA

przygotowanych dla DGP, wniesiono ich 19,6 tys. wobec 16,1 tys. rok wcześniej. Jednak urzędy wojewódzkie coraz częściej tonują entuzjazm wnioskodawców. Wyraźnie zwiększyła się bowiem także liczba wydawanych decyzji odmownych. Ta nowa tendencja budzi niepokój przedsiębiorców i prawników.

Ich zdaniem wskazuje to na usztywnienie polityki urzędów, co może przynieść szkody polskiemu rynkowi pracy. Ekspertci alarmują, że polityka „zero tolerancji”, gdy nawet drobny mandat blokuje prawo do paszportu, sprawi, że wykwalifikowani specjaliści zaczną omijać Polskę. ©©

B1



Rozwodowego armagedonu nie będzie



Małgorzata Kryszkiewicz
kierownik działów
Firma i Prawo,
Prawnik

Każdy, kto nieco uważniej obserwuje to, co się dzieje w kwestii przywracania praworządności, musi przyznać, że ostatnio dyskusja na ten temat straciła impet. Wczoraj jednak nabrała na nowo rumieńców, a wiązało się to z pojawieniem się informacji, że Sąd Rejonowy w Giżycku zakwestionował wyrok rozwodowy innego sądu z tego tylko powodu, że w jego wydaniu brał udział tzw. neosędzia. Stawiam jednak dolary przeciwko orzechom, że będzie to wyłącznie chwilowe ożywienie.

Wiadomość o decyzji giżyckiego sądu zelektryzowała nie tylko środowiska prawnicze, które na co dzień patrzą władzy na ręce i stale domagają się uporządkowania spraw praworządnościowych. Wywołała ona poruszenie także wśród zwykłych obywateli. I nie ma się czemu dziwić. Wszak po raz pierwszy problem „neosędziów” znalazł odbicie w sprawie, która potencjalnie może dotyczyć każdego pozostającego w związku małżeńskim obywatela. Nikt przecież nie chciałby znaleźć się w skórze tych, którzy na skutek decyzji Sądu Rejonowego w Giżycku nagle się dowiedzieli, że ich wspólność majątkowa tak naprawdę nie ustała, a oni formalnie nadal są małżeństwem. A co, jeśli mieli już zaplanowany ślub z inną osobą? Albo któregoś z nich wzięło ogromny kredyt, o którym dotychczasowa (?) druga połówka nie miała pojęcia? Tego typu pytania muszą działać na masową wyobraźnię. I działają. Ale powtarzam: będzie to tylko wzmrożenie chwilowe.

Jestem niemal pewna, że giżycka sprawa będzie wyjątkiem od reguły, bo nie sądzę, aby tamtejszy sędzia znalazł wielu naśladowców. A jeśli już, to podobne przypadki będzie można zliczyć na palcach jednej ręki. Prawda bowiem jest taka, że spora część sędziów przymyka oko na to, że w składzie orzekającym zasiada tzw. neosędzia. Część robi to, kierując się troską o stabilność prawa i najlepiej pojętymi interesami stron, a część nie kwestionuje orzeczeń kolegów powołanych po 2018 r., gdyż po prostu nie chce ściągać na siebie uwagi.

I z tą drugą motywacją wiąże się kolejna kwestia, która skłania mnie do postawienia tezy, że decyzja giżyckiego sądu nie zapoczątkuje rozwodowego armagedonu. Otóż z rozmów z tymi sędziami, którzy nie zamierzają odpuścić kwestii praworządnościowych, wynika, że ich działania są przyjmowane w środowisku z coraz większym zniecierpliwieniem, niezrozumieniem, a bywa, że również z niezadowoleniem. Z negatywnym odbiorem swoich działań spotykają się nie tylko ze strony kolegów zza stołu sędziowskiego, lecz także przewodniczących wydziałów, a w niektórych przypadkach nawet wiceprezesów i prezesów sądów. Za chwilę może się więc okazać, że ci, którzy za czasów PiS byli stawiani jako przykład bojowników o praworządność, otrzymają łatkę wicherzycieli, którym nie wiadomo, o co chodzi. Zyskają na tym politycy, którzy nie będą musieli już głowić się nad tym, jak rozwikłać największą łami-główkę prawniczą w historii III RP. No bo koniec końców, czy zwykłego Kowalskiego obchodzi, kto mu podpisał papier? Nawet tak istotny jak wyrok rozwodowy. ©

Złoto cenniejsze niż dolar



Marta Petka-Zagajewska
ekonomistka,
szefowa zespołu
analiz makro-
ekonomicznych
PKO BP

Narodowy Bank Polski regularnie informuje o zwiększonym zasobie złota w aktywach rezerwowych. O ile w latach 2019–2022 było go ok. 228 t, o tyle na koniec grudnia 2025 r. było to już 550 t, a prezes NBP Adam Glapiński zapowiedział możliwość zwiększenia zasobów do 700 t. Zasobami złota przekraczającymi ten poziom dysponuje dziś zaledwie dziesięć gospodarek (USA, Niemcy, Włochy, Francja, Rosja, Chiny, Szwajcaria, Indie i Japonia) oraz Międzynarodowy Fundusz Walutowy.

Globalny trend zwiększania rezerw złota trwa od 2009 r., a badania Światowej Rady Złota wśród banków centralnych wskazują, że będzie kontynuowany. Według analizy z czerwca 2025 r. 95 proc. banków centralnych (spośród 73 ankietowanych) oczekiwało, że udział złota w globalnych rezerwach wzrośnie w horyzoncie 12 miesięcy, a żaden nie spodziewał się spadku. 43 proc. banków deklarowało, że same zwiększą udział złota, żaden nie zadeklarował, że go zmniejszy. Odsetek deklaracji o zwiększeniu udziału złota był przy tym blisko dwukrotnie wyższy niż średnio w latach 2020–2024. Według deklaracji ankietowanych głównym argumentem przyciągającym banki centralne do złota jest jego historyczna odporność w okresach kryzysowych. Relatywnie istotne znaczenie ma też postrzeganie złota jako zabezpieczenia na ryzyko geopolityczne. Ten czynnik jest szczególnie istotny dla banków centralnych gospodarek rozwijających się przy znacząco niższej istotności dla państw rozwiniętych.

Odwrotnie kształtują się deklaracje dotyczące amerykańskiego dolara – 73 proc. banków spodziewa się spadku jego udziału w rezerwach w perspektywie pięciu lat, a tylko 10 proc. zakłada wzrost. W 2024 r. spadku udziału dolara w rezerwach spodziewało się 62 proc. banków, a w 2022 r. tylko 42 proc., przy blisko 30 proc. wskazań, że rola dolara wzrośnie. Na poziomie deklaratywnym obserwujemy więc zamianę dolara na złoto przy jednoczesnej percepcji podwyższonego ryzyka geopolitycznego, którą można uznać za jeden z bodźców do tej zamiany. Wojny celne czy wydarzenia wokół Grenlandii, gdzie USA z przypisywanej im roli światowego policjanta przeistaczają się w siewcę globalnego niepokoju, pokazują, że banki centralne na świecie dostosowują się do nowej rzeczywistości, w której emittent głównej waluty rezerwowej świata i najważniejszej waluty w globalnym systemie płatności przez złośliwych zaczyna być określany mianem submerging economy.

Te złośliwości nie dotyczą „twardych” wyznaczników poziomu rozwoju, takich jak zamożność, struktura gospodarki czy głębokość rynku finansowego, tylko dotyczą m.in. siły instytucji i przestrzegania fundamentalnych zasad, chociażby w zakresie niezależności banku centralnego. Sformułowania kierowane przez prezydenta Donalda Trumpa wobec prezesa Rezerwy Federalnej przypominają niedawne historie z Turcji, a nie wzorzec przypisywany gospodarkom rozwiniętym.

Złośliwości dotyczą też zmniejszającej się przejrzystości, dla której warunkiem jest m.in. dostęp do informacji i danych. W obliczu radykalnych cięć w nakładach na badania i statystykę w Stanach Zjednoczonych, lista dostępnych danych się kurczy, a w przypadku wielu – nawet tak kluczowych jak inflacja – rośnie skala zastępowania badań oszacowaniami. Wśród kategorii, w których dane są wycinane lub ograniczane, wymienia się m.in. ankiety dotyczące bezpieczeństwa żywnościowego, nadużyć policji, informacje o śmiertelności niemowląt czy dotyczące zagrożeń środowiskowych. To przypomina niedawne historie z Chin, kiedy w obliczu pogorszenia sytuacji na rynku pracy (okresowo) zniknęły dane o bezrobociu wśród młodych czy o nastrojach konsumentów. Przy braku danych trudno opierać dyskusje, a tym bardziej decyzje, na faktach.

W związku z tym wyodrębnienie na świecie miejsc i aktywów, które są przewidywalne i bezpieczne, z roku na rok staje się coraz trudniejsze. Podobnie jak coraz bardziej skomplikowane staje się zadanie banków centralnych, by skutecznie zarządzać rezerwami walutowymi. ©

Więcej niż Ziobro



Jacek Żakowski
publicysta,
dziennikarz

Miejsce Ziobry jest w więzieniu. Romanowski też. Wielu obecnych i przyszłych parlamentarzystów – również. Część z nich będzie zapewne czekała na wyrok w areszcie, część skorzysta z azylu na Węgrzech, w USA, Rosji, Izraelu albo Argentynie. Nie w tej kadencji, to w przyszłej.

Weszliśmy w polityczny cykl, w którym utrata władzy łączy się z ryzykiem utraty wolności, majątku etc. Często słusznie. Nie jest to tylko polska przypadłość. Przybywa demokratycznych państw, w których politycy przerzucają się groźbą „Będziesz siedział!”. I coraz częściej te groźby są realizowane. Wraz z radykalizującą się polaryzacją i narastaniem populistycznej fali taki klimat zapanał w demokracjach.

Jeśli działają niezależne sądy, rozliczanie polityków przez wymiar sprawiedliwości jest dobre. Ale gdy wzmaga się populizm i podziały, to niezależność, bezstronność i wiarygodność sądów w demokracjach słabną. Podobnie słabną niezależność, bezstronność i wiarygodność mediów. Zmierzamy więc raczej ku coraz bardziej brutalnej nawalance, ustawkom i zemście niż ku sprawiedliwości.

Nie ma na to łatwego i skutecznego lekarstwa. Ale widząc już, co przed nami, możemy osłabiać skutki tego procesu. Na przykład dbając o stabilność parlamentarnej reprezentacji.

Dziś azyl ma dwóch posłów opozycji faktycznie nieuczestniczących w pracach Sejmu. W Sejmie władza ma więc większą przewagę nad opozycją, niż chcieli wyborcy. Jeżeli rozliczanie PiS będzie się toczyło sprawnie, kolejni posłowie opozycji mogą wkrótce trafić do aresztu lub również

uzyskać azyl za granicą. To pozbawi grupę wyborców ich sejmowej reprezentacji, co jeszcze bardziej zmieni układ sił w Sejmie. Może zyska na tym sprawiedliwość, ale słabnąca i tak już demokracja – uciurpi.

Z zapowiedzi Zbigniewa Ziobry wynika, że po wygranych przez prawicę wyborach podobne ryzyko zawisnie nad kilkudziesięcioma posłami obecnej koalicji rządowej. Gdyby PiS zdobył np. 220 mandatów, wystarczyłoby w praktyce aresztowanie 20 opozycyjnych posłów, by Kaczyński do uchwalenia ustaw nie potrzebował nawet Konfederacji.

Tylko że kiedy faktyczny skład Sejmu będzie ustalała aktualna większość (wyrażająca zgodę na aresztowanie) przy pomocy podporządkowanej rządowi prokuratury (wnioskującej o areszt) i dyspozycyjnych wobec ministra sędziów (wydających decyzję o areszcie), będzie to koniec naszej przygody z demokracją. A jest to nie tylko formalnie możliwe, lecz także politycznie realne.

Coś trzeba z tym prędko zrobić. Widzę dwa sposoby. Pierwszy: poprawka w regulaminie Sejmu gwarantująca nieobecny posłom (chorym, aresztowanym) zdalny – jak podczas pandemii – udział w obradach i uzależniająca zgodę na aresztowanie od stworzenia takiej możliwości przez władze penitencjarne. Można taką poprawkę wprowadzić od ręki na każdym posiedzeniu, aczkolwiek następny Sejm mógłby ten zapis równie łatwo zmienić.

Drugi sposób: zmiana w ustawie o wykonywaniu mandatu posła i senatora umożliwiająca – na wniosek nieobecnego posła – tymczasowe wykonywanie mandatu przez kolejnych kandydatów z listy, którzy dziś obejmują mandat w razie jego wygaśnięcia (z powodu śmierci, zrzeczenia się czy skazania). To jest trudniejsze, bo wymaga zgody prezydenta, ale też w przyszłości trudniej byłoby to zmienić.

Wiadomo, że obraz posła głosującego z celi albo z wrogiego kraju jest przykry. Ale czy demokracja nie jest warta znoszenia tej przykrości? ©

Prezydent chce zbadania limitu zadłużenia

FINANSE PUBLICZNE Prezydent podpisał ustawę budżetową na rok 2026, ale skierował ją także do Trybunału Konstytucyjnego. Zarzuca obcięcie w Sejmie kwot przeznaczonych na Trybunał Konstytucyjny i Krajową Radę Sądownictwa, ale także **przekroczenie konstytucyjnego progu zadłużenia**

Renata Oljasz
renata.oljasz@infor.pl

Główny obszar, w którym prezydent zakwestionował ustawę budżetową, to przede wszystkim kwestia tego, że ustawa budżetowa dopuszcza sytuację, w której państwowy dług publiczny przekroczy 60 proc. produktu krajowego brutto. To niezgodne z konstytucją. We wniosku do Trybunału Konstytucyjnego Karol Nawrocki zgłasza też zastrzeżenia do wyłączenia z definicji długu publicznego zobowiązań gwarantowanych przez Skarb Państwa funduszy zarządzanych przez Bank Gospodarstwa Krajowego.

Czego zabrakło prezydentowi

Prezydent zaskarżył konkretne punkty załącznika nr 2 do ustawy budżetowej (m.in. Część o6 – Trybunał Konstytucyjny oraz Część o8 – Krajowa Rada

Sądownictwa). Zarzuca on większości parlamentarnej celowe i drastyczne ograniczenie funduszy na funkcjonowanie tych instytucji.

O przekroczeniu progu 60 proc. PKB zadłużenia (będzie to dotyczyło unijnej definicji długu, dług liczony według metody krajowej będzie niższy) prezydent mówił w trakcie poniedziałkowego wystąpienia, w którym zapowiedział skierowanie ustawy budżetowej do TK. W nim wskazywał również inne kwestie, jak niedostateczny poziom wydatków na obronę narodową. Wydatki budżetowe w 2026 r. na obronę narodową zaplanowano na poziomie 4,8 proc. PKB. Prezydent ocenił, że „skierowany do mnie budżet państwa nie realizuje także gwarancji bezpieczeństwa – mimo wielu deklaracji nie zapewnia 5 procent PKB na obronność”.

Zdaniem Nawrockiego w budżecie zabrakło podniesienia kwoty wolnej od podatku do 60 tys. zł. Dodał, że „nie ma podwójnej waloryzacji emerytur – planowana waloryzacja będzie jedną z najniższych od lat”. Waloryzacja płac dla urzędników, nauczycieli i służb na poziomie 3 proc. jest w ocenie prezydenta niewystarczająca, zaś składka zdrowotna w tegorocznym budżecie nie zawiera ulgi dla przedsiębiorców.

„Prezydent podpisał budżet. Budżet inwestycji oraz rekordowych nakładów na obronę. Reszta, w tym skierowanie ustawy do TK, to polityczny teatr bez realnych skutków. My pracujemy dalej” – skomentował Andrzej Domański, minister finansów.

– Prezydent powinien dla dobra polskiej gospodarki i dobra Polaków, stabilności wzrostu gospodarczego wspie-



Premier Donald Tusk i prezydent Karol Nawrocki nie zgadzają się w kwestii budżetu

rać rząd w działaniach konsolidacyjnych, a nie krytykować go, że nie zwiększa wydatków i nie obniża podatków, jednocześnie zarzucając mu, że nie obniża deficytu. To jest całkowicie niespójna wizja – mówi Marcin Zieliński, prezes i główny ekonomista Forum Obywatelskiego Rozwoju.

Jak reformować finanse państwa

Główny ekonomista FOR wskazuje jednocześnie, że „działania, które podejmuje rząd w celach konsolidacji fiskalnej, ograniczenia deficytu i przyrostu długu publicznego, są niewystarczające”. FOR wraz z Warsaw Enterprise Institute opublikowały raport „Budżetowy SOS. Jak wyprowadzić finanse publiczne na prostą w ciągu

3 lat”, w którym przedstawiają diagnozę stanu finansów publicznych w Polsce i prezentują rekomendacje niezbędne do redukcji deficytu.

Według nich najskuteczniejszą drogą do uzdrowienia finansów byłaby redukcja wydatków konsumpcyjnych, a nie podnoszenie podatków. Rekomendują reformę transferów społecznych: odejście od programów powszechnych na rzecz wsparcia celowego, w tym wprowadzenie kryterium dochodowego w programie 800+ oraz rezygnację z 13. i 14. emerytury. Wśród postulatów jest też przywrócenie równego wieku emerytalnego na poziomie 67 lat, szeroka prywatyzacja spółek, które nie mają charakteru strategicznego, oraz sprzedaż

ziemi państwowej w celu redukcji długu.

Plan procesu konsolidacji fiskalnej w latach 2025–2028 jest zawarty w „Średniookresowym planie budżetowo-strukturalnym”, przyjętym przez rząd w październiku 2024 r. i przedstawionym Komisji Europejskiej. Stał się on fundamentem dla podpisanego przez prezydenta budżetu na 2026 r. Strategia konsolidacji zakłada zasadę tzw. backloading, co oznacza, że najłżejszy wysiłek oszczędnościowy wykonano w 2025 r., a realne reformy, zaciskanie pasa i konsolidacja zaczynają się od 2026 r. Plan zakłada, że Polska będzie obniżała deficyt sektora instytucji rządowych i samorządowych o ponad 1 pkt proc. rocznie, począwszy od bieżącego roku. ☺☺

POLITYKA

Karol Nawrocki, Emmanuel Macron, Giorgia Meloni, ale też Władimir Putin oraz Alaksandr Łukaszenka – to część **przywódców zaproszonych przez Biały Dom do członkostwa w Radzie Pokoju**

Daria Al Shehabi
Karolina Wójcicka
dgp@infor.pl

Organizacja miałaby zajmować się nadzorowaniem sytuacji w zrównanej z ziemią Strefie Gazy, gdzie obowiązuje zawieszenie broni wynegocjowane przez administrację Donalda Trumpa.

Ze statutu, który rozesłano do potencjalnych członków, wynika jednak, że rada otrzymalaby znacznie szerszy mandat. Mógłby on jej wręcz pozwolić rywalizować z Or-

Trump zaprosił Nawrockiego do konkurencji dla ONZ

ganizacją Narodów Zjednoczonych i pośredniczyć w innych globalnych konfliktach. Dokument podkreśla potrzebę powołania „bardziej elastycznego i skutecznego międzynarodowego organu budowania pokoju” oraz przekonuje, że „trwały pokój wymaga pragmatycznych osądów, zdroworozsądkowych rozwiązań i odwagi, by odejść od instytucji, które zbyt często zawodziły”.

Źródło DGP w Ministerstwie Spraw Zagranicznych odsyła do art. 89 konstytucji RP. Zgodnie z nim przystąpienie do tego rodzaju porozumienia wymaga ratyfikacji w formie ustawy. Oznacza to konieczność uzyskania zgody parlamentu. Wśród przedstawicieli obozu rządzącego nie ma jednak woli przy-

stąpienia do rady. Na pytanie, czy MSZ dostrzega w tym jakiegokolwiek korzyści dla Polski, wysoko postawiony urzędnik odpowiedział ironicznie: „zasiadanie w jednej radzie z Putinem?”.

O tym, że decyzja w tej sprawie nie należy tylko do prezydenta, przypomniał też premier Donald Tusk.

Większość przywódców państw europejskich również podchodzi do inicjatywy Donalda Trumpa z wyraźnym dystansem. Na razie wiele wskazuje na to, że amerykański prezydent próbuje wykorzystać swoje ulubione narzędzie nacisku, czyli cła, aby skłonić ich do przystąpienia do rady. Gdy dziennikarze poinformowali go, że Emmanuel Macron planuje odrzucić zaproszenie,

Trump odparł: – Cóż, nikt go nie chce, bo niedługo nie będzie już u władzy. Nałożę 200-proc. cła na jego wino i szampany. Wtedy się przyłączy, choć nie musi – dodał.

Kraje przystępujące do rady miałyby pełnić trzyletnią kadencję, chyba że – jak podkreśla nasz rozmówca z MSZ – wpłaciłyby miliard dolarów „wpisowego”. Strona amerykańska nie sprecyzowała dotąd, na co miałyby pójść te pieniądze.

Najwięcej do powiedzenia będzie miał Trump. Statut przyznaje mu jako przewodniczącemu Rady Pokoju szerokie uprawnienia, w tym prawo weta. Statut zapewnia mu też „wyłączne uprawnienie do tworzenia, modyfikowania lub rozwiązywania jednostek pomocniczych,

w razie potrzeby lub stosownie do realizacji misji Rady Pokoju”, takich jak komitet wykonawczy zajmujący się Gazą lub inne podobne organy tworzone przy rozwiązywaniu innych konfliktów.

Trump od środy będzie przebywać w szwajcarskim Davos. W czwartek na marginesie szczytu ekonomicznego ma oficjalnie zaprezentować Kartę Rady Pokoju. Nie jest jasne, czy amerykański prezydent będzie oczekiwał od przywódców odpowiedzi na zaproszenie już przy tej okazji.

Szef prezydenckiego Biura Polityki Międzynarodowej zaznacza, że Karol Nawrocki decyzji jeszcze nie podjął. – Trwają rozmowy między Polską, ale także innymi partnerami z Zachodu i z Amerykanami, jaką formułę ta Rada Pokoju ma przyjmować. Oczywiście jest kontrowersja, że zapraszani są tacy politycy, z którymi z całą pewnością prezydentowi Karolowi Nawrockiemu po drodze nie

jest – podkreślił w rozmowie z radiem RMF FM Marcin Przydacz.

Jednocześnie odniósł się do członkostwa w radzie przywódców Rosji i Białorusi. – Nie uznajemy funkcjonowania w takiej formule Łukaszenki. Wiemy też, że Putin jest agresorem, ale to strona amerykańska decyduje o składzie – mówił.

Marcin Przydacz poinformował, że Kancelaria Prezydenta wystąpiła do MSZ o opinię w tej sprawie. – Rada ma mieć prawie 60 uczestników. Oczywiście to wyróżnienie, że z ponad 200 krajów akurat Polska jest zapraszana, ale ta sytuacja niesie ze sobą ryzyko. Sejm musiałby się tu wypowiedzieć, w oczywisty sposób konieczna jest tu współpraca – zaznaczył.

„Rada Pokoju nie może stać się narzędziem legitymizacji tych, którzy potykają depczą” – stwierdziła Aleksandra Uznińska-Wiśniewska, szefowa zespołu parlamentarnego Polska-USA. ☺☺

TRANSPORT

Łódź i Lublin są w dziesiątce najbardziej zatłoczonych miast na świecie.

Mieszkańcy tracą czas odpowiadający w skali roku kilku dniom na stanie w korkach

Aleksandra Hołownia
aleksandra.holownia@infor.pl

Ulice Łodzi oraz Lublina należą do najbardziej zatłoczonych na świecie – wynika z TomTom Traffic Index 2026. DGP poznał szczegóły dorocznego raportu, który oficjalnie będzie publikowany dziś. Poziom zatłoczenia Łodzi to 73 proc., co oznacza, że średni czas podróży w godzinach szczytu jest o 73 proc. wyższy niż w warunkach płynnego ruchu (gdy czas przejazdu jest najniższy). W niechlubnym rankingu Łódź zajęła czwarte miejsce na świecie. Pierwsza trójka to miasto Meksyk (75,9 proc.), Bengaluru (74,4 proc.) oraz Dublin (72,9 proc.). W pierwszej dziesiątce najbardziej zatłoczonych miast na świecie jest także Lublin (70,4 proc.). Z kolei spośród 10 najbardziej zatłoczonych miast europejskich aż sześć leży w Polsce. W porównaniu z poprzednim rokiem wskaźnik pogorszył się we wszystkich 12 polskich miastach analizowanych przez TomTom.

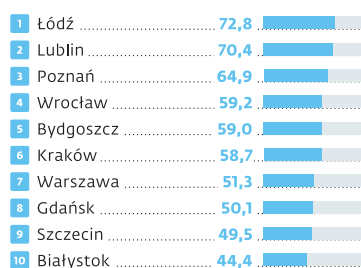
Za dużo aut

– Liczba samochodów w Polsce w przeliczeniu

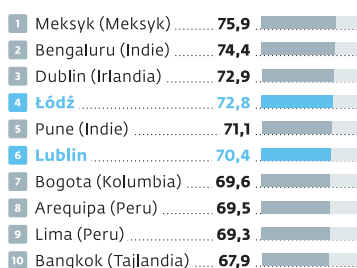
Polskie miasta wśród najbardziej zakorkowanych

Poziom zatłoczenia miast w 2025 r. (proc.)

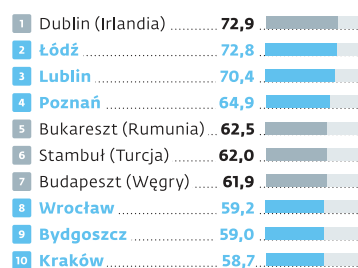
Polska



Świat

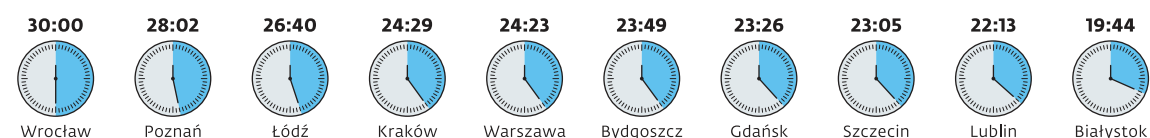


Europa



LR © Zródło: TomTom Traffic Index 2026

Polskie miasta z najdłuższym średnim czasem pokonania 10 km (w minutach)



na mieszkańca należy do jednych z najwyższych w Europie. Polacy są silnie przywiązani do posiadania własnego auta, co przekłada się na rosnące korki w miastach – mówi DGP Lech Mergler, współtwórca Kongresu Ruchów Miejskich. Według danych Eurostatu w Polsce na 1 tys. mieszkańców przypada 629 aut osobowych. Średnia unijna to 578. Mergler dodaje, że transport publiczny nie zawsze stanowi realną alternatywę. Tempo rozwoju sieci połączeń bywa niewystarczające. W wielu miejscach brakuje buspasów, przez co autobusy i tak utkną w tym samym korku co samochody.

Według Niny Józefiny Bąk, dyrektorki Clean

Cities Campaign w Polsce, wysoka liczba samochodów wynika m.in. z niedostatecznej oferty transportu publicznego, utrzymywania tranzytu przez obszary śródmiejskie i projektowania ulic w sposób sprzyjający szybkiej jeździe: z szerokimi pasami ruchu i wysokimi limitami prędkości. – Takie rozwiązania obniżają przepustowość ulic, bo zwiększają liczbę kolizji i zakłóceń ruchu. Kluczową rolę odgrywa również suburbanizacja. Coraz więcej osób mieszka poza granicami dużych miast. Samochód staje się dla nich jedynym realnym środkiem dojazdu do pracy czy usług – dodaje.

Patryk Białas, przewodniczący komisji klimatu

i środowiska rady miasta katowice, mówi, że w miastach królują krótkie przejazdy autem tam, gdzie dałoby się dojść pieszo albo dojechać komunikacją. – Efekt? W godzinach szczytu średnie prędkości spadają do 20–30 km/h, czyli warunków stałego zatoru. A właśnie w korkach emisje z samochodów, szczególnie NO₂ i pyłu PM_{2,5}, są najwyższe w przeliczeniu na kilometr – komentuje. Podkreśla, że korek to „nie tylko strata czasu, to fałszywa smog”, który z kolei przyczynia się m.in. do wzrostu ryzyka depresji, pogorszenia chorób serca i układu nerwowego.

Z kolei Nina Bąk podkreśla, że przez zatłoczenie dróg ulice stają się

mniej przyjazne. – Spada obecność pieszych, co osłabia lokalny handel i życie społeczne. W dłuższej perspektywie centra miast tracą atrakcyjność jako miejsca do życia – dodaje rozmówczyni DGP.

Pięć dni straty w roku

TomTom Index pokazuje, że w Polsce przejeżdżanie 10 km najwięcej czasu zajmuje we Wrocławiu (średnio 30 min). W Poznaniu jest to 28 min, w Łodzi – niecałe 27 min. Wpływa na to nie tylko poziom zatłoczenia dróg, ale także rozdaj ulic, przepustowość czy ograniczenia prędkości. Biorąc pod uwagę to kryterium, polskie miasta są poza światową czy nawet europejską czołów-

ką. W Europie prym wiodą Londyn (ponad 36 min), Dublin oraz Bruksela, a na świecie Barranquilla (ponad 36,5 min), Londyn oraz Bengaluru.

Mimo to polscy kierowcy, którzy dwa razy dziennie przejeżdżają 10 km podczas godzin szczytu, w trakcie roku tracą nawet 5 dni i 19 godzin (w Poznaniu). We Wrocławiu jest to 5 dni i 18 godz., a w Łodzi – 5 dni i 15 godzin.

Globalne zatłoczenie w 2025 r. wzrosło o 5 pkt proc., z 20 do 25 proc. – Obserwowana tendencja wymaga podjęcia pilnych działań w zakresie inteligentnego planowania mobilności, inwestycji w transport publiczny i wspólny, ulepszonych technologii zarządzania ruchem oraz skoordynowanej polityki – mówi Ralf-Peter Schäfer, wiceprezes ds. informacji o ruchu drogowym i podróżach w firmie TomTom.

Według Niny Józefiny Bąk do zmniejszenia zakorkowania miast trzeba zmiany priorytetów w polityce transportowej oraz podniesienia konkurencyjności transportu zbiorowego wobec samochodu, m.in. poprzez buspasy i priorytet na skrzyżowaniach. – Równie ważne jest uspokojenie ruchu: zwężanie pasów, obniżanie prędkości i porządkowanie tranzytu, tak by nie przecinał centrów miast. Do tego dochodzą polityki parkingowe, rozwój bezpiecznej infrastruktury pieszej i rowerowej oraz lepsze planowanie przestrzenne, które ogranicza zależność od samochodu – uważa dyrektorka Clean Cities Campaign. ©

Zmiany w ramowych planach nauczania pod lupą

SZKOŁY ŚREDNIE

Rozszerzenia miałyby zaczynać się nie w pierwszej, ale w drugiej lub trzeciej klasie. Dyrektorzy **mogliby wprowadzać nowe przedmioty**, np. zajęcia z AI

Karina Strzelińska
karina.strzelińska@infor.pl

Z ustaleń DGP wynika, że Instytut Badań Edukacyjnych opracował dwie koncepcje ramowych planów nauczania dla szkół ponadpodstawowych. Dyrektorzy będą mogli wybrać jedną z nich. Ale Polskie Stowarzyszenie Nauczycieli Przedmiotów Przyrodniczych wystoso-

wało list do kierownictwa resortu edukacji, w którym apeluje o modyfikację proponowanych rozwiązań.

Oprócz korzystnych zmian, takich jak zmniejszenie łącznej liczby godzin w technikum, pojawiły się bowiem propozycje budzące zastrzeżenia. W obu wariantach przewidziano redukcję liczby godzin przeznaczonych na przedmioty rozszerzone w całym cyklu kształcenia – z 22 do 18. „Oba proponowane ramowe plany nauczania w zakresie zmniejszenia liczby godzin z przedmiotów rozszerzonych nie powinny ujrzeć światła dziennego” – czytamy w liście PSNPP do MEN.

„Rozważamy wyrównanie liczby godzin rozszerzeń wszystkich przed-

miotów, tak żeby każdy przedmiot miał rozszerzenie w takim samym wymiarze (po 6 godzin)” – przyznaje IBE.

– MEN tłumaczy zmiany nową podstawą programową i mniejszą liczbą treści, ale przecież wymagania na studiach pozostają niezmienione – nikt nie obniży oczekiwań wobec przyszłych lekarzy, prawników, inżynierów czy dziennikarzy – mówi DGP Karol Dudek-Różycki, przewodniczący PSNPP.

Zmienić ma się również moment rozpoczęcia nauki na poziomie rozszerzonym: byłoby to dopiero w drugiej lub trzeciej klasie liceum, w zależności od decyzji dyrektora. Obecnie uczniowie zaczynają rozszerzenia już w pierwszej klasie.

„Wybór w wieku 15 lat tego, co się będzie zda wało na maturze za cztery lata, jest dla wielu uczniów i uczennic wyborem pozornym i trudnym. Chcemy dać im więcej czasu na podjęcie bardziej przemyślanej decyzji” – argumentuje IBE.

Marek Pleśniar, szef Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Kadry Kierowniczej Oświaty, uważa, że decyzja o tym, jak rozłożyć godziny w różnych etapach edukacyjnych czy w ramach konkretnej szkoły, powinna pozostawać wyłącznie w gestii placówki. Nie popiera opóźnienia startu rozszerzeń.

Propozycje obejmują również zwiększenie liczby godzin pozostających do dyspozycji dyrektora

z trzech do sześciu tygodniowo oraz rozszerzenie katalogu przedmiotów, które mogłyby być realizowane w ich ramach. Dotychczas obejmował m.in. plastykę, muzykę czy filozofię. Po zmianach szkoły mogłyby wprowadzać m.in. wiedzę o mediach, astronomię czy zajęcia z AI i robotyki. Nauczyciele mogliby również proponować własne przedmioty autorskie, np. ochronę środowiska.

Co istotne, dyrektorzy skałby większą więc pulę godzin do swojej dyspozycji, ale nie mogłyby decydować np. o rozpoczęciu nauki przedmiotów rozszerzonych w pierwszej klasie.

– MEN zakłada, że dyrektorzy, otrzymując więcej godzin do dyspozycji, będą przeznaczać je rów-

niez na kluczowe przedmioty, takie jak język polski, matematyka czy właśnie rozszerzenia – mówi Dudek-Różycki. Zwraca uwagę, że dziś przepisy na to nie pozwalają, a ich zmiana i tak najpewniej nie rozwiązałaby sprawy. Powód? W rzeczywistości godziny do dyspozycji dyrektora są bowiem często często wykorzystywane m.in. do latania etatów nauczycieli.

Ewelina Górczyca, rzeczniczka resortu edukacji, podkreśla, że prace nad ramówkami są obecnie „na etapie koncepcyjnym” i obejmują analizę „różnych wariantów organizacyjnych”.

„MEN pozostaje otwarte na dialog – jeżeli w toku konsultacji okaże się, że proponowane rozwiązania wymagają korekty, będą one analizowane we współpracy ze środowiskiem oświatowym” – dodaje. ©

Gazowe bezpieczeństwo na pół gwizdka

SUROWCE U progu kolejnej fali mrozów europejskie magazyny gazu są w połowie opróżnione, co czyni Unię bardziej wrażliwą na zakłócenia w dostawach

Marceli Sommer
marceli.sommer@infor.pl

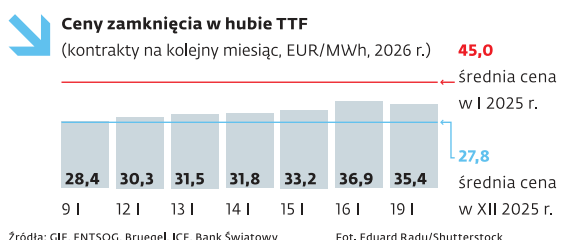
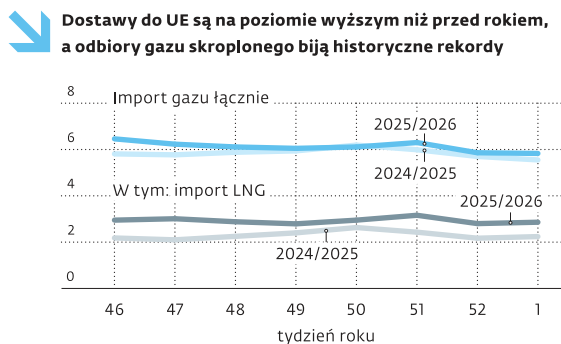
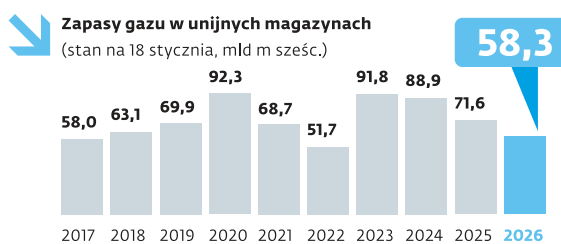
Europę ogarnia kolejna w tym sezonie fala zimna. Ekspertiści mówią o zaburzeniach wiru polarnego, układu ciśnień w ziemskiej atmosferze, który decyduje o przepływach zimnego powietrza z biegunów. W związku z jego osłabieniem jeszcze w tym tygodniu do Europy i Ameryki Północnej mają zawitać dwucyfrowe mrozy. Wpływ arktycznego powietrza na temperaturę może być odczuwalny aż do lutego.

Już poprzednie ochłodzenie przyniosło serię rekordów wykorzystania gazu i energii elektrycznej, m.in. w Polsce (po raz pierwszy został sforsowany pułap 100 mln m sześć. dziennego zużycia gazu). W rezultacie, jak podaje stowarzyszenie Gas Infrastructure Europe (GIE), pod koniec minionego tygodnia stan unijnych zapasów spadł poniżej połowy zdolności magazynowych. Zdaniem Tomasza Włodki z Akademii Górniczo-Hutniczej ryzyko kryzysu nie jest obecnie

wysokie. Nasz rozmówca zwraca jednak uwagę na spore dysproporcje poziomu zapasów w poszczególnych krajach.

Niskie poziomy, poniżej średnich wieloletnich, notują Niemcy i Holandia – gospodarki charakteryzujące się wysokim zapotrzebowaniem na gaz (także w ujęciu per capita). Zapełnienie magazynów niemieckich wynosi ok. 42 proc., a holenderskich – nieco ponad 35 proc. Gdyby były zmuszone polegać na tych zapasach, w scenariuszu zużycia typowym dla zimnego lutego Niemcom wystarczyłoby to na 3,5 tygodnia, a Holendrom na nieco ponad miesiąc. W wariancie bardziej ekstremalnym, zgodnym z najwyższym historycznym zapotrzebowaniem na surowiec notowanym w okresie dwutygodniowym, zapasy wyczerpałyby się obu krajom w mniej niż 20 dni.

Zdaniem Włodki, gdyby niskie temperatury utrzymały się do marca, rynki te mogą doświadczyć problemów. – Na tym tle Polska wypadła bardzo dobrze – zastrzeżę. Krajowe magazyny pozostają, wedle danych GIE, zapełnione w niemal 3/4. Również w naszym przypadku bezpieczeństwo jest jednak względne, jeśli wziąć pod uwagę stosunek między zmagazynowanym surowcem a zużyciem dziennym. W zależności od scenariusza pogodowego taki wolumen gazu wystarczyłby na trzy do czterech tygodni standardowego zuży-



Źródła: GIE, ENTSOG, Bruegel, ICE, Bank Światowy

Fot. Eduard Radu/Shutterstock

cia. Dane te nie pokazują pełnego obrazu, ponieważ na wielkich magazynach niemieckich i holenderskich w praktyce polega więcej rynków, np. Belgia czy Dania, które same dysponują minimalnymi rezerwami.

Rynek stabilizuje w tej sytuacji przede wszystkim ciągłość i stabilność dostaw, z którą jak dotąd nie ma problemów. – 14 stycznia pierwszy raz europejskie terminale gazu skroplonego (LNG) wprowa-

dziły do systemu ponad 5 TWh (ok. 500 mln m sześć. – red.) gazu ziemnego w ciągu jednego dnia – odnotowuje Tomasz Włodek. Rezultat? Ceny kontraktów w rotterdamskim hubie TTF rosną (w momencie zamknięcia tego wydania sięgały najwyższej w tym sezonie stawki niemal 37 euro/MWh), ale pozostają wyraźnie poniżej średnich notowań choćby ze stycznia 2025 r. (45 euro), nie mówiąc o pojawiających



niecałe 38 dni typowego zimowego zapotrzebowania UE na gaz

ponad 31 dni zapotrzebowania na gaz w scenariuszu surowej zimy

ok. 24 dni szczytowego dziennego zapotrzebowania zimowego i 27 dni wskaźnika szczytowego dla okresu 14-dniowego (baza: 9–22 I 2025)

się w szczycie kryzysu energetycznego cenach trzycyfrowych. – Ceny giełdowe mogą jednak wyraźnie wzrosnąć w lutym i marcu, jeśli chłodna zima się utrzyma – spodziewa się ekspert.

Niższa rezerwa oznacza wyższą wrażliwość na zakłócenia w dostawach, przy czym – jak zaznacza dr Włodek – wrażliwość ta „w pewien sposób zawsze wzrasta zimą”. Dopóki rynek LNG działa prawidłowo, pozyskanie zamó-

wień – np. w scenariuszu wstrzymania gazu rosyjskiego, który nadal płynie do Unii Europejskiej rurociągiem Turk Stream czy w formie skroplonej – jest kwestią ceny. – Kto bardziej potrzebuje, ten zapłaci więcej – dodaje ekspert. Podkreśla również, że rosyjski gaz nie ma już dla UE znaczenia egzystencjalnego, choć jego wstrzymanie z dnia na dzień wywołałoby reperkusje na rynku. Na dłuższą metę, według niego, dostaw z tego kierunku mogłoby nie już być, gdyby nie to, że są europejscy klienci, którzy chcą z tego surowca korzystać.

Nasz rozmówca przyznaje, że katastrofą dla bezpieczeństwa gazowego Europy byłoby zakłócenie dostaw LNG ze Stanów Zjednoczonych. – Nie sądzę, żeby euroatlantycki konflikt zaszedł tak daleko. Eksport gazu to dla Amerykanów ogromny biznes, a ograniczenie produkcji surowca na taką skalę byłoby trudne i generowałoby ogromne koszty. Nawet gdyby doszło do gigantycznej eskalacji wojny handlowej z geopolityką w tle, surowce energetyczne będą jej ostatnim etapem, a i tak nie sądzę, by którakolwiek ze stron się na to zdecydowała. Mogą się pojawić elementy straszenia, ale w tym przypadku na tym się najprawdopodobniej skończy. Ponadto Europa nie miałaby żadnych możliwości zastąpienia takiego wolumenu dostaw ad hoc – mówi Włodek. ©©

Liderzy gospodarki o wyzwaniach dla Polski i Europy

PATRONAT

Polska i Europa stoją przed wieloma strategicznymi wyzwaniami obejmującymi bezpieczeństwo, niezależność, odporność i konkurencyjność. Problemy te dotyczą kluczowych sektorów – energetyki, obronności, cyberbezpieczeństwa, infrastruktury oraz przemysłu – a ich rozwiązywanie wymaga ścisłej współpracy między biznesem, administracją publiczną i decydentami. W obliczu dynamicznie zmieniającej się sytuacji geopolitycznej konieczny staje się pogłębiony dialog o tym, jak budować stabilny rozwój na podstawie długofalowych, strategicznych inwestycji publicznych. Po raz kolejny podejmiemy go EEC Trends, którego uczestnicy oceniają także



EEC Trends to przestrzeń, w której formułujemy najważniejsze pytania o przyszłość – mówi Wojciech Kuśpik, prezes Grupy PTWP

znaczenie dołączenia Polski do grona państw G20 oraz potencjału, jaki niesie to dla krajowej gospodarki. Spotkanie odbędzie się 9 lutego w hotelu Sheraton Grand Warsaw. Stanowi ono prolog Europejskiego Kongresu Gospodarczego, którego 18. edycja odbędzie się 22–24 kwietnia w Kato-

wicach. W trakcie EEC Trends, jak co roku, w gronie przedstawicieli rządu i samorządów, biznesu, nauki i mediów, podejmowane będą najistotniejsze tematy społeczno-gospodarcze – od globalnych wyzwań geopolitycznych po kierunki transformacji energetycznej, cyfrowej i przemysłowej. Agen-

da obejmuje 12 sesji tematycznych, których wnioski określa głównie kierunki trzydniowej debaty podczas EKG w Katowicach.

– EEC Trends to kluczowy moment w cyklu przygotowań do Europejskiego Kongresu Gospodarczego, etap diagnozy i refleksji, który nadaje ton całorocznej dyskusji o gospodarce – mówi Wojciech Kuśpik, prezes Grupy PTWP, inicjator i organizator Europejskiego Kongresu Gospodarczego. – To także przestrzeń, w której wspólnie ze społecznością kongresu formułujemy najważniejsze pytania o przyszłość: o bezpieczeństwo, odporność i konkurencyjność polskiej i europejskiej gospodarki – dodaje.

Tegoroczna edycja ma być całościowym spojrzeniem na procesy, które

w największym stopniu definiują pozycję gospodarki w zmieniającym się świecie. Dyskusje obejmą szerokie spektrum tematów: od globalnych przesłanek i rosnącej roli geopolityki w kształtowaniu rzeczywistości gospodarczej, po wyzwania wewnętrzne, które determinują tempo rozwoju i konkurencyjność Polski oraz Unii Europejskiej.

Wśród polityków, którzy potwierdzili już udział w konferencji, są: Wanda Buk, doradczyni prezydenta Karola Nawrockiego, Jurand Drop, wiceminister finansów, Katarzyna Lubnauer, wiceminister edukacji, Renata Mroczek, prezes Urzędu Regulacji Energetyki, Ryszard Petru, przewodniczący sejmowej komisji ds. deregulacji, poseł

Andrzej Adamczyk, minister infrastruktury w latach 2018–2023. Z grona liderów biznesu potwierdził udział przekazał m.in. Michał Bolesławski, prezes ING Banku Śląskiego, Krzysztof Dresler, wiceprezes PKO BP, Kamil Majczak, prezes Grupy Qemetica, Wojciech Trojanowski, członek zarządu Strabagu, oraz Piotr Wyborski, prezes spółki PKP Polskie Linie Kolejowe.

W trakcie gali towarzyszącej EEC Trends zostaną wręczone statuetki WNP Awards, przyznawane przez redakcję portalu WNP osobom, instytucjom i firmom, które w szczególny sposób wpływają na rozwój polskiej gospodarki i wyznaczają nowe kierunki rozwoju – dla branż, sektorów i całej gospodarki. ©© EIS



Trump testuje Europę

DGP Magazyn na Weekend



Czytaj

Pesa gotowa na ekspansję w Europie

ROZMOWA **Zdziarski:**

HeiterBlick będzie naszym przyczółkiem do ekspansji w tej części Europy. Chodzi o Niemcy, kraje Beneluksu, może Austrię

Co Pesie da ogłoszone właśnie przejęcie niemieckiego producenta tramwajów, firmy HeiterBlick?

Pesa jest w fazie stabilnego rozwoju, cały czas rośnie. Nie tylko skalą, ale też technologią, zasięgiem rynkowym. Niemcy są największym rynkiem tramwajowym,

sieci istnieją w ponad 40 miastach. Uznaliśmy, że warto skorzystać z okazji, bo to dla nas duża szansa. HeiterBlick to dobrze postrzegany producent, który jednocześnie nie jest wielkim podmiotem, więc byliśmy w stanie podołać transakcji. Pod względem produktowym firma jest w stosunku do nas komplementarna. Oni oferują nieco inne pojazdy niż my, więc nie ma mowy o kanibalizmie. Wspólnie będziemy tworzyć kompetencje na rynku niemieckim.

Od kiedy trwały rozmowy o przejęciu spółki?

Już dwa lata temu zwróciliśmy uwagę na Heiter-

Blicka. Przygotowania trochę trwały, ale przejęcie HB to bardzo przez nas pożądany typ fuzji, dlatego chcieliśmy ją przygotować bardzo starannie.

Ile kosztowała transakcja?

To skomplikowana forma przejęcia, bo uczestniczymy też w rozmowach z bankami, które finansują firmę. Będziemy się starali zdobyć dla niej kredyt operacyjny. Firma jest w trakcie prowadzonej pod nadzorem sądu restrukturyzacji, bo m.in. przez pandemię COVID-19 wpadła w pewne turbulencje. Uporządkujemy jej sytuację, a wtedy jej wartość będzie wzrastać. Do cza-

su zakończenia procesu przejęcia nie chciałbym mówić o szczegółach transakcji.

Sama marka HeiterBlick pozostanie?

Tak, bo jest dobrze kojarzona. Chcemy utrzymać ich gamę produktową, a także dokończyć obecne kontrakty tramwajowe dla Dortmundu, Bielefeld i Lipska. Będziemy oczywiście starać się o kolejne zlecenia. W firmie jest bardzo dobra jakość pracy. Chwalone są jej rozwiązania techniczne. Biorąc pod uwagę nasze doświadczenia z rynku tramwajowego, spodziewamy się efektów synergii kompetencji i technologii.



Krzysztof Zdziarski
prezes Pesy

Proszę o wyliczenie najmocniejszych stron tego producenta.

To niezawodność produktu, zaawansowanie technologiczne, po stronie montażu precyzja i staranność wykonania, a do tego uznanie i zaufanie klientów na rynku niemieckim.

Liczyicie tylko na kontrakty w Niemczech czy też w innych krajach?

Zakładamy, że to będzie nasz przyczółek do ekspansji w tej części Europy. Chodzi o Niemcy i kraje Beneluksu, może też Austrię.

Oprócz tramwajów firma produkuje lekkie pociągi miejskie.

To choćby ciekawe pojazdy dla Dortmundu. W konsorcjum robili także sporo takich składów dla Hanoweru. To cenne uzupełnienie naszego portfolio produktowego.

Będą kolejne akwizycje?

Jesteśmy firmą w fazie rozwoju. Mamy odpowiednią technologię, potencjał wzrostowy, ambicję i bardzo uzdolniony zespół. Oprócz wzrostu organicznego możemy zatem rosnąć także poprzez kolejne przejęcia. Staramy się badać, co się dzieje na rynku. Próbowaliśmy połączyć się z Talgo, ale z powodów politycznych Hiszpania nie chciała, by firma trafiła do zagranicznego właściciela. Na pewno będziemy dalej monitorować rynek.

PKP Intercity ogłosiło przetarg na szybkie pociągi, które pojadą przynajmniej 320 km/h. Wcześniej deklarowaliście, że jesteście zainteresowani tym postępowaniem, ale z racji tego, że sami nie dacie rady ich wyprodukować, połączyliście siły z jakimś zagranicznym graczem. Wiadomo, kto nim będzie?

Jeszcze nie. Udział w tym postępowaniu byłby dla nas ważnym skokiem technologicznym i spełnieniem marzeń. Rozmawiamy z kilkoma podmiotami, ale nie mogę jeszcze powiedzieć, czy i z kim wystartujemy w tym przetargu.

Na razie jesteście tuż przed potwierdzeniem zdolności do produkcji pociągów osiągających 200 km/h.

Czeski przewoźnik RegioJet zamówił u nas pojazdy do obsługi dalekobieżnej linii R9, które będą jeździć z prędkością 200 km/h i będą dwusystemowe, czyli zasilane z sieci 3 kV i 25 kV. Produkcja pojazdów trwa, w lutym wysyłamy pierwszy na badania i jazdy testowe. Spodziewamy się uzyskania homologacji w tym roku.

Kiedy osiągniecie gotowość do produkcji składów na 250 km/h?

Pracujemy nad takim pojazdem. Myślę, że będziemy mogli go zaoferować przewoźnikom w pierwszej połowie lat 30. To muszą być pojazdy nowoczesne, zaawansowane technologicznie i efektywne energetycznie. Zakładamy, że poza pojazdami najszybszymi rynek, zwłaszcza w tej części Europy, będzie potrzebował właśnie pojazdów mogących jeździć z prędkością do 250 km/h.

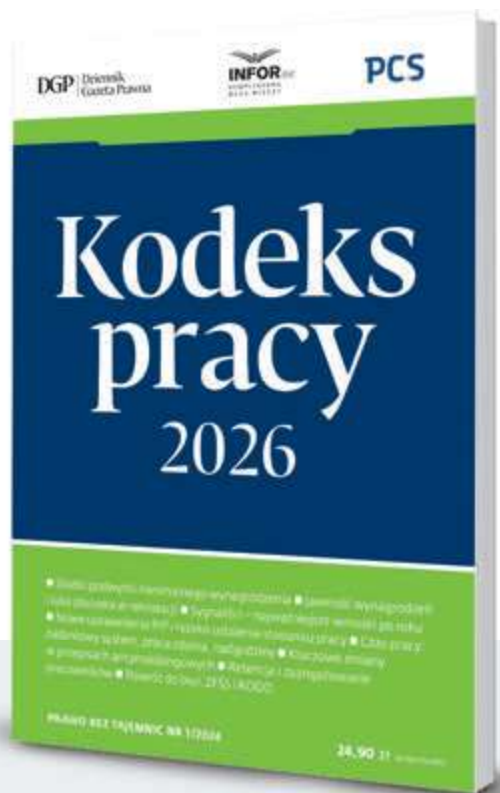
Siedem, osiem lat temu Pesa miała straty sięgające powyżej 500 mln zł. Można już powiedzieć, że wypracowaliście trwale pozytywne wyniki?

Tak, jesteśmy firmą, która wypełnia parametry rentowności, dlatego banki i instytucje finansowe decydują się na dalsze finansowanie Pesy poprzez kredyty czy gwarancje. Warto zaznaczyć, że to w większości komercyjne banki, a w konsorcjum finansującym pierwsze skrzypce grają prywatne podmioty: Citibank, ING i Paribas. Nasi rywale często mówili, że to państwo ciągle dorzuca nam setki milionów złotych. W rzeczywistości nasz rozwój jest możliwy dzięki finansowaniu na komercyjnych zasadach i to właśnie eksperci z komercyjnego rynku finansowego oceniają pozytywnie sytuację Pesy jako fazę stabilnego rozwoju. ©

Rozmawiał Krzysztof Śmietana

DGP | Dziennik Gazeta Prawna

Bądź gotowy na zmiany w prawie pracy



Ustawa z komentarzem ekspertów do wprowadzonych i planowanych zmian w prawie pracy

- Skutki podwyżki minimalnego wynagrodzenia
- Jawność wynagrodzeń i luka płacowa w rekrutacji
- Sygnaliści – najważniejsze wnioski po roku
- Czas pracy: zadaniowy system, praca zdalna, nadgodziny
- Kluczowe zmiany w przepisach antymobbingowych
- Retencja i zaangażowanie pracowników
- Powrót do biur, ZFŚS i RODO

sklep.infor.pl



Rząd ignoruje głos biznesu



FOT. MAT. PRASOWE

BARTŁOMIEJ PEJO

przewodniczący sejmowej Komisji Cyfryzacji, Innowacyjności i Nowoczesnych Technologii

Proponowane przepisy o KSC dają urzędnikom zbyt dużą władzę w ocenie ryzyka, a argumenty o bezpieczeństwie narodowym służą jako „zasłona dymna” do uciszenia krytyki płynącej od przedsiębiorców – uważa Bartłomiej Pejo, przewodniczący sejmowej Komisji Cyfryzacji, Innowacyjności i Nowoczesnych Technologii

Jak ocenia pan dotychczasowy przebieg prac nad nowelizacją ustawy o krajowym systemie cyberbezpieczeństwa?

Komisja, którą mam zaszczyt prowadzić, to miejsce naprawdę merytorycznej dyskusji i debaty nad cyfrowym rozwojem Polski. Przez ostatnie dwa lata nasza komisja była jednym z niewielu miejsc konstruktywnej dyskusji w parlamencie. Jednak nawet naszej komisji nie omijają kontrowersyjne projekty ustaw. Tak było z wdrażaniem DSA, gdy toczyła się debata o wolności słowa. Tak jest też z nowelizacją ustawy o krajowym systemie cyberbezpieczeństwa. Brak konstruktywnego dialogu w sprawie kształtu ustawy wdrażającej DSA doprowadził finalnie do zawetowania ustawy przez Prezydenta RP. W tym wypadku też zdaje się, że rząd pozostaje głuchy na słowa krytyki i chce przepchnąć ustawę, która sankcjonuje arbitralną rolę administracji rządowej w ocenie ryzyka związanego z cyberbezpieczeństwem. Uzasadnienie, jak zwykle, jest emocjonalne, oparte na trudnym położeniu geopolitycznym Polski i zagrożeniu atakami, ale nikt nie chce słuchać, że w związku z tym stworzymy okazję do nadużyć czy zagrożenie dla wykorzystania innowacyjnych technologii z zagranicy.

W trakcie prac w Komisji wniesiono poprawki do nowelizacji. Czego dotyczyły?

Zgłoszono wiele poprawek, szereg z nich wniósł także moja formacja, Konfederacja. Nie było zgody większości rządowej na mój wniosek o wysłuchanie publiczne. Udało się doprowadzić do tego w przypadku wdrażania rozporządzenia DSA, skończyło się to spotkaniem wielu środowisk i ważną wymianą zdań. Składałem poprawkę, która zapewniałaby stosowanie kodeksu postępowania administracyjnego w postępowaniu w sprawie uznania za dostawcę wysokiego ryzyka. Obowiązujące obecnie przepisy dążą do wyłącznego uznaniowego kwalifikowania podmiotów jako takich dostawców. Postępowanie administracyjne daje narzędzia do kontroli wydawanych decyzji i możliwości odwołania w przypadku decyzji krzywdzących konkretne podmioty.

Chcieliśmy także zapewnienia możliwości wniesienia skargi na opinię Kolegium ds. cyberbezpieczeństwa, która jest przed podjęciem decyzji wydawana dla ministra. Dzięki temu powody, dla których ktoś zostanie zakwalifikowany jako dostawca wysokiego ryzyka będą mogły zostać zakwestionowane. To normalna procedura administracyjna, z której rezygnuje ustawodawca w tym przypadku.

Składaliśmy także poprawki dotyczące określenia katalogu podmiotów, których powinien dotyczyć obowiązek wycofywania sprzętu i oprogramowania dostawców wysokiego ryzyka z użytkowania. Powinno to dotyczyć sieci telekomunikacyjnej 5G i to właśnie wyłącznie sprzętu oraz oprogramowania, które pełni w niej funkcje krytyczne.

Generalnie chcemy ograniczenia arbitralności decyzji ministra i stoimy tu po stronie praw prywatnych podmiotów.

Ministerstwo Cyfryzacji twierdzi, że nowelizacja ustawy o KSC była najlepiej skonsultowaną ustawą w historii. Przedsiębiorcy alarmują, że ich kluczowe postulaty zostały zignorowane. Jak pan skomentuje ten rozdział?

Ministerstwo raczy żartować. Dlatego właśnie domagałem się na komisji wysłuchania publicznego nowelizacji. Ja nie dostrzegam tych szeroko zakrojonych konsultacji. Uwagi przedsiębiorców są bardzo cenne i kluczowe przy tak ważnej ustawie. Dobrze byłoby, gdyby w resorcie ktoś podszedł do tego głosu na poważnie i uwzględnił tych, których przepisy będą realnie dotyczyć.

To tworzenie zasłony dymnej mającej przysłonić krytykę proponowanych rozwiązań. Zamiast dialogu, który mierzy się z argumentami i wątpliwościami przedsiębiorców, rząd woli uniknąć dyskusji i przejść do wdrażania przepisów. To kompletnie wbrew zdrowym zasadom parlamentaryzmu. Parlament jest od dyskusji, zgłaszania wątpliwości i pracy. Nam uniemożliwia się nawet wysłuchanie publiczne oraz dialog z osobami, których przepisy będą bezpośrednio dotyczyć. Tak się nie robi.

W jakim zakresie udało się wypracować kompromis? Rynek dostrzegł przedłużenie terminu na wdrożenie nowych obowiązków z 6 do 12 miesięcy. Czy coś jeszcze zostało zmienione?

Przedłużenie terminu wejścia nowych obowiązków w życie zdaje się być „listkiem figowym”, jedynym, w czym udało się zmieknąć zatwardziałość rządzących. Tych zmian potrzeba znacznie więcej, bo proponowane regulacje są znacznie bardziej rozbudowane niż wdrażana dyrektywa NIS2. Potrzeba na przykład prawidłowego określenia katalogu podmiotów, których powinien dotyczyć obowiązek wycofywania sprzętu i oprogramowania dostawców wysokiego ryzyka. Takimi podmiotami powinni być jedynie operatorzy sieci telekomunikacyjnej 5G, ze względu na jej właściwości techniczne i wrażliwość na relacje z dostawcami. Nie tylko w przypadku cyberbezpieczeństwa, ale generalnie w przeregulowanej Europie standardem powinno być przyjmowanie zasady „prawo UE+0”. Zresztą to rozwiązanie popierał Rafał Trzaskowski w zeszłorocznej kampanii prezydenckiej. Niestety zarówno w przypadku implementacji DSA, jak i teraz ta zasada jest łamana.

Ustawa wprowadza szereg zabezpieczeń przed cyberzagrożeniami dla polskiej gospodarki. Czy powinny być jednakowe dla wszystkich sektorów?

Oczywiście w dobie coraz powszechniejszych cyberataków i ataków hybrydowych ze Wschodu potrzebujemy nowoczesnego podejścia do cyberbezpieczeństwa. Dziś paraliż państwa z wykorzystaniem cyberataku jest możliwy i jest dla nas zagrożeniem. Ale oczywiście nie może być tak, że prewencja uniemożliwi normalne życie. Stopień zabezpieczeń i obowiązków powinien być zróżnicowany pod względem wagi dla państwa oraz prawdopodobieństwa ataku. Regulowanie tak samo urzędu gminy i infrastruktury krytycznej to pójsię na łatwiznę, które ma jednak konsekwencje dla obywateli. Dookreślenie regulacji i dostosowanie ich do konkretnych sytuacji jest kluczowe w utrzymaniu balansu między bezpieczeństwem a sprawnością działania. W przypadku niektórych mniej ważnych miejsc mamy ograniczone zasoby ludzkie i finansowe. Dla nich obowiązki powinny być łagodniejsze, bo inaczej będą paraliżować normalną pracę. W krytycznych sektorach bezpieczeństwo jest z kolei zbyt ważne. Tam ochrona musi być znacznie bardziej ścisła. Tak należałoby to regulować.

Czy w pana ocenie proces legislacyjny można uznać za transparentny?

To nie był transparentny proces. Słyszymy o tym, że ustawa była konsultowana, ale na wysłuchanie publiczne nie ma zgody. A tyle nam

obiecivano, gdy koalicja przejmowała władzę. Miało skończyć się przepychanie ustaw nad głowami obywateli, miało być w końcu demokratycznie i obywatelsko. Wydaje się, że w pogoni za kolejnymi kompetencjami państwa ofiarą stało się wysłuchanie samych zainteresowanych, bo rząd spodziewa się krytyki. To wielka i ważna ustawa, a nie projekt jak każdy inny. Powinniśmy rozważyć także po to, by budować zaufanie podmiotów gospodarczych do państwa, którego szalenie obecnie brakuje.

Dyskusja w trakcie prac komisji między stroną rządową oraz społeczną na temat dostawców wysokiego ryzyka była żywiołowa. Jakie kwestie budzą największe emocje?

Największą kontrowersją jest arbitralność i uznaniowość decyzji ministra w sprawie nadania statusu dostawcy wysokiego ryzyka. Kolejnym zagrożeniem jest fakt, że urzędnicy będą kierować się wedle tych przepisów także kryteriami, które nie mają żadnego związku z funkcjonalnością i bezpieczeństwem danej technologii. Ma ona także być oceniana pod kątem państwa pochodzenia, a więc technologia pochodząca z państw „przyjaznych” może zostać dopuszczona nawet, jeśli stwarza jakieś zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa. To wraz z przywołaną przeze mnie arbitralną decyzją urzędniczą i wydawaniem decyzji o natychmiastowej wykonalności tworzy pole do nadużyć. Te rozwiązania gigantycznie obciążają polskie przedsiębiorstwa, nikt nie przewiduje przecież dla nich rekompensaty.

W przestrzeni publicznej pojawiają się głosy, że Polska będzie miała najostrzejsze przepisy w całej UE. Ministerstwo Cyfryzacji twierdzi natomiast, że musimy wdrożyć te obowiązki, gdyż wynikają bezpośrednio z unijnej dyrektywy NIS2. Jak pan to ocenia?

Przykry jest fakt, że do tej nadregulacji wykorzystuje się PR-owo trudne położenie geopolityczne Polski jako państwa „frontowego” w Sojuszu Północnoatlantyckim. Znowu bezpieczeństwo jest cynicznie wykorzystywane do uzasadnienia nadmiernych kompetencji państwa względem obywateli. Przeregulowanie gospodarki nie tylko nie da nam bezpieczeństwa (bo wiara w skuteczność i roztropne decyzje administracji nie potwierdza się w rzeczywistości), ale także wpłynie realnie na rozwój technologii w Polsce, który jest nam potrzebny. Każde przeregulowanie oznacza mniejszą efektywność, więcej czasu poświęconego na wypełnianie ustawowych obowiązków i w związku z tym mniejsze efekty pracy, mniejszy zarobek. Każda dodatkowa regulacja względem naszych konkurentów europejskich oznacza także, że mniej będzie opłacało się wykonywać daną aktywność w Polsce. Każda taka mała nadregulacja łącznie w gospodarce prowadzi do zmniejszenia konkurencyjności Polski i większych kosztów działalności firm, a w tym wypadku może nawet prowadzić do uniemożliwienia korzystania z jakiejś technologii, która będzie wykorzystywana na Zachodzie.

Czy widzi pan szanse na pogodzenie stron w ewentualnych dalszych pracach Komisji CNT w Sejmie?

Tak, zawsze jest na to czas. Zresztą wielokrotnie udawało się ponad podziałami w naszej komisji wypracowywać dobre rozwiązania. Wiem, że w resorcie jest wielu ludzi, którzy naprawdę nie kierują się plemiennym podziałem partyjnym, tylko chcą stworzyć dobre prawo. W przypadku DSA nie udało się porozumieć i finalnie projekt nie wszedł w życie. Oby rząd nie popełnił drugi raz tego błędu.

Jakie pana zdaniem powinny zostać wprowadzone rozwiązania w zakresie cyberbezpieczeństwa, które byłyby akceptowalne i niekontrowersyjne dla przedsiębiorców?

Podstawą jest możliwość stosowania kodeksu postępowania administracyjnego, by istniały dla przedsiębiorców procedury odwoławcze i sądowa kontrola powodów, dla których ich dostawca lub oni sami zostali zakwalifikowani jako dostawca wysokiego ryzyka. To punkt wyjścia do dalszych zmian.

Chiny też zaczynają się szybko wyludniać

DEMOGRAFIA Zniesienie polityki jednego dziecka nie zatrzymało demograficznego tąpnięcia w Chinach. Wskaźnik urodzeń jest najniższy od 1949 r., a ONZ przewiduje, że do 2100 r. liczba mieszkańców kraju może zmaleć o połowę

Maria Wiśniewska
maria.wisniewska@infor.pl

W ubiegłym roku w Chinach urodziło się zaledwie 7,92 mln dzieci, co oznacza spadek liczby urodzeń o 17 proc. w porównaniu z 2024 r. i obniżenie współczynnika do 5,63 urodzeń na 1000 mieszkańców, najniższego od powstania Chińskiej Republiki Ludowej w 1949 r. Tak wynika z danych chińskiego biura statystycznego opublikowanych na początku tygodnia. Oznacza to, że na każdą kobietę w wieku reprodukcyjnym przypada jedynie 1,02 dziecka.

Przy współczynniku zgonów na poziomie 8,04 na 1000 osób populacja kraju, który jeszcze niedawno był najludniejszym na świecie, spadła do ok. 1,4 mld, kurcząc się w ciągu roku o blisko 3 mln. Z roku na rok Chiny oddalają się od Indii, które na pierwszym

miejsu podium stanęły w 2023 r. i obecnie liczą ok. 1,46 mld mieszkańców. Dane te są rozczarowaniem dla władz w Pekinie, które od lat próbują przeciwdziałać niekorzystnym trendom demograficznym, pogłębiającym problemy i tak już kulejącej gospodarki. W 2016 r. Chiny wycofały się z polityki jednego dziecka, podnosząc limit do dwójki. Zmiana przyniosła jednak ograniczone efekty, dlatego w 2021 r. zezwolono na posiadanie trójki dzieci, a kilka miesięcy później całkowicie zrezygnowano z regulowania tej kwestii.

Jedną z przyczyn niskiej dzietności jest trudny do udźwignięcia koszt odchowania potomstwa. Według YuWa, chińskiego think tanku zajmującego się demografią, ChRL jest najdroższym miejscem na świecie do wychowywania dziecka w relacji do średniego dochodu



ChRL wycofała się z polityki jednego dziecka przed dekadą

na osobę (drożej jest jedynie w Korei Południowej). Utrzymanie dziecka do 18. roku życia kosztuje średnio ponad 538 tys. juanów (280 tys. zł), co odpowiada 6 proc. PKB per capita. W dużych miastach, jak Pekin czy Szanghaj, koszty te są nawet o połowę wyższe ze względu na szybciej rosnące ceny nieruchomości i niezwykle konkurencyjny system edukacyjny. Być może jednak jeszcze większym problemem jest wzrost

liczby singli. Problem ten jest wzmocniony przez zaburzone proporcje między kobietami i mężczyznami (na każde 100 kobiet w wieku 15–29 przypada 115 mężczyzn), co sprawia, że młodym Chińczykom trudno znaleźć partnerkę. W ostatnich latach Chiny próbują zachęcać rodziców różnymi instrumentami, od tych bardziej klasycznych (i znacznie mniej hojnych niż polskie 800+), jak 3,6 tys. juanów

(1,9 tys. zł) rocznie dla rodziców dziecka do trzeciego roku życia, po te bardziej kontrowersyjne, jakim było nałożenie 13-proc. podatku na środki antykoncepcyjne. Problem z demografią nie dotyczy oczywiście tylko Chin. Z podobnymi wyzwaniami mierzą się też inne kraje Azji Wschodniej, jak Korea Południowa, Singapur czy Tajwan, gdzie współczynnik dzietności także oscyluje wokół 1. Problemy mają również państwa europejskie, które wielkimi krokami zbliżają się do tej niebezpiecznej granicy, jak choćby w Polsce, gdzie współczynnik ten w 2024 r. wyniósł 1,1.

W Chinach kryzys demograficzny jest jednak dodatkowo potęgowany przez dziedzictwo polityki jednego dziecka, prowadzonej w Państwie Środka przez prawie cztery dekady. Choć od jej zakończenia minęło już 10 lat, konsekwencje tej polityki zakorzeniły się głęboko w społeczeństwie, zmieniając model życia rodzinnego i wzmocniając pozycję kobiet na rynku pracy. Efektem było jednak pojawienie się zjawiska małych cesarzy, czyli pokolenia jedynaków, w które rodzice i dziadkowie inwestowali większość zasobów emocjonalnych i finansowych. Cała ge-

neracja wychowana pod presją sukcesu często nie ma doświadczenia życia w większej rodzinie i nie odczuwa potrzeby jej zakładania.

Eksperti ONZ prognozują, że populacja Chin będzie się nadal kurczyć, a do 2100 r. może zmniejszyć się o ponad połowę. Szczególne obawy budzi szybkie starzenie się społeczeństwa; według szacunków nawet połowa mieszkańców kraju może mieć wówczas ponad 60 lat. Proces ten już dziś wywiera presję na gospodarkę, pozabawiając ją ważnego segmentu konsumentów. Dalsze kurczenie się siły roboczej utrudni wzrost produktywności, co rząd próbuje mitygować, stawiając na automatyzację i nowe technologie.

Pekin próbuje też kształtować pozytywny przekaz o szansach na rozwój „silver economy”, srebrnej gospodarki, w której osoby starsze generują coraz większą część PKB. W 2024 r. Pekin podniósł rozwój tego sektora do rangi strategii narodowej. Szacuje się, że wartość chińskiej „silver economy” wynosi obecnie 7 bln juanów (3,6 bln zł). Według danych cytowanych przez państwową agencję Xinhua, do 2035 r. może ona wzrosnąć do 30 bln juanów (15,5 bln zł), czyli ok. 10 proc. PKB Chin. ©

BULGARIA Rumen

Radew sugerował już wcześniej, że jest zainteresowany udziałem w polityce partyjnej

Michał Potocki
michal.potocki@infor.pl

Prezydent Bułgarii Rumen Radew we wtorek miał złożyć formalną dymisję ze sprawowanej funkcji. Polityk prawdopodobnie chce wystartować w wyborach parlamentarnych. Jego nieistniejące na razie ugrupowanie, o łagodnie eurosceptycznym i zdystansowanym wobec Ukrainy profilu, ma szansę na dobry wynik.

Radew zapowiedział decyzję w orędziu wygłoszonym w poniedziałkowy

Prezydent rezygnuje, by walczyć o realną władzę

wieczór. Jego kadencja i tak upłynęłaby za rok, a w kolejnych wyborach prezydenckich emerytowany generał nie mógłby już startować. Formalnie dymisję zatwierdzi Sąd Konstytucyjny. Gdy tak się stanie, stanowisko głowy państwa obejmie dotychczasowa wiceprezydent Ilijana Jotowa, wieloletnia działaczka Bułgarskiej Partii Socjalistycznej (BSP). Radew, który jest prezydentem od 2021 r., w trakcie kadencji, wbrew stanowisku kolejnych rządów, próbował opóźniać dostawy bronii dla Ukrainy i wprowadzenie euro.

Komentatorzy uważają, że spróbuje sił w kampanii do parlamentu z ha-

słami lewicowo-suwerenistycznymi. Jeszcze nie wiadomo, kiedy Bułgarzy pójdą do urn, ale będą to już ósme wybory parlamentarne w ciągu pięciu lat. Scena polityczna jest rozdrobniona. Najsilniejsze struktury wciąż ma centroprawicowy GERB Bojka Borisowa, ale lider budzi kontrowersje, jest oskarżany o korupcję i powiązania z półświatkiem. Wyrosłe w kontrze do GERB ugrupowania mają jednak problem z uzbieraniem większości. Konsekwencją są słabe rządy, które szybko upadają.

Tak też się stało w grudniu 2025 r. z gabinetem Rosena Żelazkova, polityka GERB, który rządził

w koalicji z BSP i mniejszą partią prawicową. Jego upadek nie przeszkodził Sofii przyjąć euro z początkiem roku. Lew ostatecznie zostanie wycofany z obiegu w przyszły weekend. Radew proponował zorganizowanie referendum w sprawie wspólnej waluty, ale wygrał argument, że Bułgarzy zaakceptowali jej przyjęcie, decydując się na wstąpienie w 2007 r. do Unii Europejskiej. W poniedziałkowym orędziu były wojskowy dowodził, że „Bułgaria dokończyła proces integracji europejskiej, stała się członkiem stref Schengen i euro, ale nie osiągnęła celu w postaci stabilności i satysfakcji”.

– Dlaczego? Odpowiedź kryje się w podstępny model rządów, mającym oznaki demokracji, ale funkcjonującym zgodnie z mechanizmami oligarchicznymi – mówił. – Powstał antymafijny konsensus społeczny. Powinien on się zmaterializować w nadchodzących wyborach – dodawał Radew. W sondażach jego potencjalna partia nie była dotychczas ujmowana. Prowadzi GERB, na który chce głosować co czwarty Bułgar. Po kilkanaście procent zbierają: liberalny blok Kontynuujemy Przemiany – Demokratyczna Bułgaria (PP-DB), nacjonalistyczne Odrodzenie i oligarchiczny Ruch na rzecz

Praw i Wolności, reprezentujący mniejszość turecką.

Analitik Dobromir Żiwkow powiedział Reutersowi, że ugrupowanie Radewa mogłoby zebrać 20–35 proc. głosów i powołać rząd z PP-DB. Sam Radew w I turze wyborów prezydenckich w 2021 r. zebrał 49 proc. Przeszkoda dla takiej koalicji byłyby odmienne poglądy na Rosję i UE. Ale dla prezydenta ten wariant miałby i plusy. Konserwatywny komentator Kristijan Szkwarek powiedział gazecie „Trud”, że taki sojusz dając Radewowi przychylność mediów i legitymizację ze strony Europy, uniemożliwiłby mu przemianę w „bułgarskiego Orbana”. ©

DGP Dziennik Gazeta Prawna

Redakcja:

ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40
e-mail: dgp@infor.pl

Redaktor naczelny:
Tomasz Pietryga

Zastępcy redaktora naczelnego:
Łukasz Guza, Łukasz Wilkowiak

Kierownicy działów:

Kraj, Świat i Gospodarka: Michał Potocki

Opinie: Marcin Kube

Podatki i Księgowość:

Katarzyna Jedrzejewska, Marcin Mroziuk (tygodnik PIK), Magdalena Sobczak (tygodnik RIA)

Firma i Prawo oraz Prawnik:

Małgorzata Kryszkiewicz,

Izabela Rakowska-Boroń (tygodnik FIP)

Samorząd i Administracja oraz Kadry i Płace:

Urszula Mirowska-Łoskot,

Joanna Pieńczykowska-Rybaczek (tygodnik SIA),

Leszek Jaworski (tygodnik KIP i UIŚ)

Dział Dodatków Poradniczych:

Monika Bugaj-Wojciechowska

Magazyn:

Anna Masłoj, Piotr Czarnowski,

Emilia Świętochowska, Maciej Weryński

Szef studia DTP:

Jacek Obrusiewicz

Główny grafik:

Cezary Cichocki

Fotoreżyser:

Łukasz Milej

Centrum Reklamy

tel. 22 530 44 44

e-mail: reklama@infor.pl

Dyrektor Centrum Reklamy:

Michał Krukowski

Dyrektor Marketingu:

Krzysztof Wiercickiewicz

Członek Zarządu:

Marcin Krawczak

Biuro Opiekunów Klienta:

ul. Burakowska 14

01-066 Warszawa

tel. 22 761 30 30

801 626 666

e-mail: bok@infor.pl

Partnerskie biura ogłoszeń:

Mariusz Zarzycki,

tel. 22 530 42 06

Produkcja:

Maciej Kownacki,

tel. 510 024 707

Druk:

Seregni Printing Group S.A.

INFOR

Wydawca Dziennika Gazety Prawnej:

INFOR PL S.A.

ul. Burakowska 14, 01-066 Warszawa

tel. 22 530 40 40

Grupa INFOR PL

Prezes zarządu: Ryszard Pieńkowski

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania

tekstów. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych

zgodnie w formie elektronicznej, jak i papierowej

bez zgody wydawcy jest zabronione.

WYDAWCA

Zamówienia na

prenumeratę przyjmują:

Kolporter,

Garmond Press,

GLM, AS Press

oraz urzędy pocztowe

Informacje

o prenumeracie:

tel. 22 761 30 30,

dgp.pl/prenumerata

Materiały oznaczane jako: artykuły sponsorowane, prezentacje, cykle, teksty promocyjne, reklama, materiały partnera, materiały na zlecenie, materiały powstałe przy współpracy z (...), subiektywnie, debata, partner, organizator, nazwą wydarzenia (np. Perły Samorządu), partner wydania oraz inne o tożsamym charakterze stanowią materiały reklamowe w rozumieniu art. 36 ustawy z dnia 26 stycznia 1984 r. prawo prasowe.

© – znak zastrzeżenia praw autorskich; © – znak odpowiedzialności; © – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość jego dalszego wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem (www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem korzystania z artykułów prasowych